

ZAPISANI W HISTORII

ANDRZEJ KACZYŃSKI

NSZZ „Solidarność” 1980–1989, t. 5: Polska środkowo-wschodnia, red. Łukasz Kamiński, Grzegorz Waligóra, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2010, ss. 934.

IPN-owską historię regionów Solidarności czytałem najpierw „w poprzek”, po kawałku z kolejnych rozdziałów. Każdemu z 38 regionów poświęcono odrębne opracowanie ułożone chronologicznie w czterech odsłonach: geneza i okres założycielski, działalność od zarejestrowania związku do stanu wojennego, trwanie w podziemiu, odbudowa legalnych struktur. Wypełniły one cztery opasłe tomy po 650–900 stron dużego formatu.

Doświadczanie demokracji

A mnie przy pierwszej lekturze interesowało szczególnie zagadnienie: proces wychodzenia ze stanu początkowej tymczasowości władz związkowych, zastępowania regionalnych i międzyzakładowych komitetów założycielskich przez – opisane w statucie, pochodzące z wyborów – zarządy regionów, jak również wyłanianie delegatów na zjazd krajowy oraz związane z tym procesem porządkowanie struktury terytorialnej i weryfikacja list członków Solidarności. Czyli stosunkowo niewielki fragment całej historii. W dodatku niespecjalnie efektowny, rozciągnięty w czasie na kilka miesięcy, rozproszony terytorialnie i wielokrotnie ustopniowany: od wyborów w organizacjach zakładowych przez lokalne komisje koordynacyjne, następnie filie

i oddziały terenowe aż do zjazdów regionalnych, odbywających się co najmniej w dwóch turach, bo skrupulatna Krajowa Komisja Wyborcza NSZZ Solidarność niejednokrotnie nakazywała powtórzenie jakiejś procedury, tak aby wszystko odbyło się w zgodzie ze statutem i ordynacją wyborczą. Kampania ta nie odcisnęła się w zbiorowej pamięci, nie obrosta legendą jak strajki i akcje protestacyjne, nie miała większego wzięcia w biuletynach i prasie związkowej, a także u historyków. Przekonałem się o tym, gdy niedawno próbowałem ze starej bibuły i współczesnych opracowań wydobyć przynajmniej podstawowe fakty. Z równym skutkiem Kopciuszek wybierał mak z garnca popiołu.

A przecież społeczeństwo doświadczało wówczas praktyk demokratycznych o skali nieznanej w powojennej Polsce. Wybory przeprowadzono według czytelnych reguł i pod społeczną kontrolą. Nie było żadnych ograniczeń swobodnego zgłaszania kandydatów ani publicznej debaty nad ich kompetencjami i programami. Przestrzegano przy tym oddolnego parytetu; w wyborach do organów wyższego szczebla każda pomniejsza jednostka terytorialna miała zapewnione miejsca mandatowe w ilości proporcjonalnej do liczby związkowców.

W czterech tomach regionalnych IPN-owskiego opracowania znalazłem na ten temat nader pokaz-

ny materiał. W takiej obfitości proces wyłaniania statutowych organów związku nie został jeszcze nigdzie przedstawiony. A co się przy tym okazało? Że wskutek wyborów kadra kierownicza Solidarności została w znacznym stopniu wymieniona. Mocno przetrzebione zostały ekipy przywódcze wyłonione podczas strajków latem 1980 r. Zapewne część z nich po prostu nie poradziła sobie z urzędowaniem, organizacją pracy biur (choć też nie rzucano się w oczy w drugiej połowie 1981 r., by po kadrowej zmianie wydatnie poprawiła się jakość i sprawność działania organów Solidarności), konsultowaniem wszystkich ważniejszych decyzji z organizacjami zakładowymi, wreszcie kontaktami z instytucjami państwowymi.

Przywódcy z 1980 r. mieli niebagatelną przewagę nad swymi następcami: wygrane strajki i batalię o prawo do nowego związku. Nie potrzebowali dowodzić odwagi i determinacji ani pożądać kolejnych zwycięskich potyczek z władzami. Być może objaśnia to częściowo przyczyny gwałtownego wzrostu liczby lokalnych konfliktów pod koniec 1981 r.; nowi przywódcy też chcieli mieć swoją legendę. Objaśnia tylko częściowo, bo większość z tych – drugorzędnych dla strategii związku – konfliktów sprowokowały organy administracji państwowej, PZPR czy Służby Bezpieczeństwa. Ale jedną z miar dojrzałości liderów jest to, czy potrafią nie dać się prowokacji. Znamienne, że do gaszenia dzikich strajków przeważnie brali się działacze z pierwszego zaciągu.

Wspominam o pożytku z lektury, który wyniosłem, ponieważ nie piszę klasycznej recenzji. Nie jestem historykiem, a tylko amatorem, nie prowadzę własnych badań w archiwach, zaglądam do nich z rzadka, z pewnością nie znam zadowalająco stanu badań. Nie potrafię ocenić, czy i jak można byłoby to zrobić inaczej, lepiej, do jakich jeszcze źródeł sięgnąć. Czasem dostrzegam usterki pisarskie, inaczej zapamiętałam pojedyncze fakty. Byłem świadkiem i niekiedy uczestnikiem opisywanych wydarzeń, niektóre relacjonowałem jako dziennikarz. Może z tych refleksji wyniknie za to

zachęta do lektury dla osób podobnie amatorsko zainteresowanych Solidarnością. Dobrze jest dowiadywać się (i pokrzepiać tą wiedzą), w czym tak naprawdę dane nam było uczestniczyć. Z pewnością ilość i bogactwo materiałów zgromadzonych w historii regionów Solidarności pozwoli na postawienie wielu nowych pytań lub uzasadnienie dawnych przeświadczeń.

Who is who

Druga rzecz, na którą od początku zwróciłem uwagę, to indeksy osobowe. W najbardziej mnie interesującym tomie 5, o Polsce środkowo-wschodniej, indeks liczy 75 stron. Po około osiemdziesiąt nazwisk na każdej – łącznie daje to jakieś 6 tys. Z tej liczby co najmniej dwie trzecie, czyli ze 4 tys., to działacze Solidarności. W pozostałych trzech tomach liczby są podobne, tak więc na kartach historii – niech będzie usprawiedliwiona ta odrobina patosu – znalazło się w sumie kilkanaście tysięcy osób, które tę historię współtworzyły.

Był kiedyś taki projekt Instytutu Lecha Wałęsy: zebrać i opublikować w księdze pamiątkowej nazwiska wszystkich członków Solidarności w latach 1980–1989, żeby przynajmniej w taki sposób oddać sprawiedliwość ich odwadze i wierności, na ogół w żaden inny sposób nieupamiętnionych. Krytykowałem to jako utopię niemożliwą i nienadającą się do realizacji. Same imiona i nazwiska prawie dziesięciu milionów ludzi, bez jakiegokolwiek kontekstu czy konkretności, zajęłyby co najmniej kilkanaście tomów, w takim kształcie kompletnie jednak bezużytecznych. Owszem, nadzwyczaj chętny byłbym za to dowiedzieć się, kto imiennie w moich okolicach co konkretnie robił, bo – jak ukazuje moja własna przygoda – nawet całkiem bliski świadek i uczestnik poznać może tylko niewielki wycinek całości.

Czwartego bodaj dnia stanu wojennego zobaczyłem na ulicy w Lublinie znajomego mężczyznę, którego często spotykałem w biurze Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego Solidarności,

a później zarządu regionu. Ucieszyłem się, że na pewno dowiem się od niego, co stało się z zaprzyjaźnionymi pracownikami regionu. O zarządzie przeważnie już wiedziałem, kto został internowany, kto zaś nie, zatem prawdopodobnie zdążył się ukryć. Ale pracownicy zgodnie z instrukcją na wypadek ataku na związek zgłosili się w większości na strajk do WSK w Świdniku, ja – dopóki można było – niedzielę spędziłem w zdemolowanej siedzibie regionu. WSK szybko zostało wzięte szturmem przez opancerzone wojsko i ZOMO, z użyciem petard, gazu i pałek, było wielu poszkodowanych, aresztowanych. Uprzytomniłem sobie jednak, że nie znam, bo nigdy nie znałem, nazwiska tego kolegi, a nawet nie byłem pewny, jak ma na imię; widywałem go tam, gdzie wpadałem z wizytą albo na korytarzu, zamienialiśmy po parę zdań i tyle. Nazwisk części tych osób, o których chciałem wypytać, również nie znałem, a tylko imiona; to nieoczekiwany skutek powszechnego w Solidarności obyczaju mówienia sobie na ty. Znajomość ze wspólnym znajomym była wystarczającą rekomendacją do zawarcia komitywy. Na szczęście ta zasada nadal działała. Spojrzałem pytająco, dał znak, że możemy bezpiecznie pogadać. Wymieniliśmy informacje. Nie jestem pewny, czy wiedział o mnie więcej niż ja o nim.

Przypomniałem sobie to zdarzenie, gdy w indeksie nazwisk tomu 5 znalazłem kilka usterek. To, że na wskazanych stronach nie ma danej osoby, zdarza się często. Trzeba sprawdzić na sąsiednich; jeśli jest, to znaczy, że paginacja wydruku komputerowego różniła się nieznacznie od książkowej, a jeżeli nie ma, to znaczy, że do ostatka tekst był skracany. Nie zdziwiłem się też, że występuję w dwóch osobach, raz jako uczestnik jakichś działań w Warszawie, drugi raz w Lublinie. Ale rozdziwił się także Wojciech Ziemiński, który należał do najbardziej znanych opozycjonistów. Według indeksu inny Ziemiński działał w Warszawie, a inny przemawiał na patriotycznych uroczystościach w Białymstoku i Rzeszowie (na dobrą sprawę mógłby więc wystąpić nawet

w trzech osobach). A przy wybitnej tłumaczkze z rosyjskiego i autorce drugiego obiegu, warszawiance Irenie Lewandowskiej, w indeksie dodano odsyłacz: „zobacz Irena Lewandowska-Kozimala”, do ówczesnej studentki – instruktorki niezależnego harcerstwa i łączniczki rzeszowskiej Solidarności. Statystycznie wychodzi na jedno: podwojony Ziemiński i zjednoczona Lewandowska to wszak trzy osoby, jak w rzeczywistości. Nie czepiam się tych drobnych i nieszkodliwych usterek, wspominał o tym na dowód, jaki byłby pożytek z gołej listy nazwisk, dokumentnie odartych z życiorysów.

Ruch protestu i pracy organicznej

Otóż ta tetralogia o związkowych regionach to pierwsze całościowe opracowanie historii Solidarności, w którym stwierdzenie, że był to ruch nie tylko masowy, lecz odznaczający się nadzwyczajnym zaangażowaniem i aktywnością bardzo wielu ludzi, otrzymało pokrycie w konkretach, szczegółach, życiorysach. Bo masowość Solidarności często przedstawia się obecnie na podobieństwo współczesnych sondaży politycznych: oto tylu a tylu ludzi, taki to a taki odsetek popiera którąś partię albo pojedynczego polityka. A co taki sondaż oznacza? Że osobom odpowiadającym na pytania ankietatorów ten czy ów polityk bardziej lub mniej podobał się ostatnio w telewizji albo przypadła im do gustu lub nie taka czy inna decyzja. Co jakiś czas zdarza mi się czytać, że w szczytowym momencie, na początku 1981 r., Wałęsę i Solidarność popierało 10 mln ludzi, a już późną jesienią 1981 r. dużo mniej – zaledwie 6 mln, oraz że to poparcie wykazywało tendencję malejącą.

Były, istotnie, takie badania. Mam do nich stosunek nader krytyczny, nie tylko dlatego, że odbywały się przy ogłuszającym akompaniamencie propagandy, wykoślawiającej prawdę o tym, czym związek zajmował się w rzeczywistości. Niemałą część odpowiedzi należałoby bowiem zapisać raczej w rubryce: czy uważasz, że Solidarność ma szansę przetrwać w konfrontacji z całym aparatem

państwowym? Wspomniane wyniki sondaży częściej, jak sądzę, odzwierciedlają kryzys wiary w sukces związku niż odmowę poparcia.

Utrwała to taki stereotyp Solidarności, jaki wytworzyła ówczesna oficjalna propaganda. Ignoruje on wielką, wciąż nie w pełni rozpoznaną robotę pozytywistyczną wykonywaną przez związkowców. Masową i niekoniecznie inspirowaną z góry. Naprawianie zakładów produkcyjnych. Batalia o samorządy pracownicze. Projekty reformowania nauki, szkolnictwa. Samoorganizacja społeczeństwa, budzenie z marazmu, odbudowywanie więzi międzyludzkich, kształtowanie postaw obywatelskich. Przebudowa świadomości. Wielka, masowa, ochotnicza i spontaniczna praca. Towarzyszyły jej, to prawda, strajki i akcje protestacyjne, ale jestem przekonany, że dla wielkiej części ludzi Solidarności to nie one stanowiły główny nurt działalności związkowej. Nie działania doraźne, reaktywne, lecz projektujące, nastawione na przyszłość. To znamienne, że w dniu wprowadzenia stanu wojennego w kraju nie było bodajże ani jednego strajku, odbywał się natomiast Kongres Kultury Polskiej. Nie był on zresztą jedyną orkiestrą, która wciąż koncertowała na tym naszym Titaniku. Nie potrafię powiedzieć, jak wielka grupa prowadziła tę pracę organiczną, nie ma chyba nawet żadnych przymiarek do określenia, o jaką liczbę ludzi może chodzić, na pewno jednak była ona bez precedensu w dziejach. Wyobraźmy sobie np. Kuźnicę Kołłątajowską albo Związek Młodzieży Polskiej ZET, ale liczące odpowiednio nie kilkudziesięciu lub kilkuset ludzi, tylko sto tysięcy, a może i kilkaset tysięcy...

Czy ta problematyka została zadowolająco zasygnalizowana w czterech tomach historii regionów? Zdaję sobie sprawę, że wyczerpująco nie mogła zostać omówiona. Brak częściowych opracowań. Nie powstała jeszcze np. przyzwoita monografia drugiego obiegu wydawniczego, najbardziej chyba wyrazistego i rozległego zjawiska z dziedziny owej solidarnościowej pracy organicznej, dotychczas tylko nieliczne wydawnictwa i tytuły cza-

piśmiennicze doczekały się solidnych opracowań. A przecież było to zajęcie inteligenckie, w tym dziennikarzy, czyli ludzi wprawnych w zbieraniu dokumentacji i posługiwaniu się piórem. Ponadto redaktorzy naukowcy historii Solidarności podyktowali zespołowi autorskiemu szczegółowy konspekt zagadnień do poruszenia, dzięki czemu uzyskano bardzo pożyteczną w lekturze powtarzalność i przewidywalność omówionych tematów. Wiadomo, gdzie i czego można szukać i taka równoległa lektura, o jakiej wspominałem na początku, może być owocna. Czasem za to może przy takim ujęciu zgubić się to, co było charakterystyczne lub wyjątkowe w takim czy innym regionie.

W różnych rozdziałach bywa więc z tym różnie, ale generalnie odpowiadam twierdząco: ta problematyka jest obecna. Niektóre wątki zostały ponadto omówione oddzielnie w tomach 2 (*Ruch społeczny*) i 7 (*Wokół „Solidarności”*). Na podstawie lektury tomu 5 uświadomiłem sobie np., że nie tylko w organizację Mazowsza oraz Regionu Środkowo-Wschodniego bardzo silnie zaangażowały się środowiska inteligenckie, naukowe czy artystyczne, i to nie w tym celu, żeby objąć przywództwo czy choćby rząd dusz, ale w roli służebnej, zgodnie z najlepszymi tradycjami polskiej inteligencji. Otóż podobnie, jak wyczytałem, było w Regionie Warmińsko-Mazurskim i w Białymstoku. Dzięki temu zostały one lepiej i sensowniej zorganizowane; zapewne dlatego w stanie wojennym struktury podziemne w trzech z tych regionów (bo nie w Białymstoku) funkcjonowały sprawnie i stabilnie.

Wschód nie tylko środkowy

Tom 5 nosi podtytuł *Polska środkowo-wschodnia*. Niezbyt trafny dla księgi obejmującej np. Region Mazowsze, do którego to pojęcie geograficzne z grubsza pasuje, ale także Warmińsko-Mazurski i Pojezierze (czyli Suwalszczyznę), Południowo-Wschodni (przemyski) i Podkarpacki (krośnieński), którym pod żadnym chyba względem cechy

środkowości przypisać nie sposób. Nie podziwiałem też określenia „środkowo-wschodni” w odniesieniu do najbliższego mi regionu; moim zdaniem mógłby nazywać się po prostu lubelski. Dłuższą nazwę zaproponował 10 września 1980 r. w Świdniku na spotkaniu komitetów strajkowych z regionu Jan Nakonieczny z Puław, naukowiec z Instytutu Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa, i delegacja puławska mocno przy niej obstawała. Wiązała się z tym koncepcja struktury terytorialnej, którą nowy związek powinien przyjąć: podziału na duże, silne i w miarę możliwości podobnej wielkości regiony. Wiele racji za tym przemawiało, nie byłoby może źle, gdyby takie właśnie regiony powstały, ale wyczuwałem, że z jeszcze jakichś niewypowiedzianych względów puławianom nie odpowiada dotychczasowy sposób organizowania związku i dążą do jakiegoś nowego rozdania, może personalnego, może ideologicznego, i że nie są w takim sposobie myślenia odosobnieni.

Tydzień później, 17 września w Gdańsku, zwyciężyła jednak koncepcja kontynuacji. Zdecydowano się powierzyć zadanie zorganizowania Solidarności istniejącym już Międzyzakładowym Komitetom Założycielskim (lub Robotniczym), wyrosłym ze strajków, a więc stosunkowo dobrze uodpornionym na manipulacje władz i infiltrację agentury. Przywódcy związkowi, w tym zwłaszcza Lech Wałęsa, bardzo chcieli, żeby nowy związek w żaden sposób nie przypominał dotychczasowej centrali związkowej CRZZ – monopolistycznej i bezwarunkowo podporządkowanej partii. Jak ognia więc unikali na początku zarządzeń, poleceń, odgórnego kierowania; wszystko miało być uzgadniane, a wola „dołów” poszanowana.

Uznano, że MKZ-ety będą mieć prawo samostanowienia o sobie i np. łączyć się wyłącznie dobrowolnie. Tyle że sieć MKZ-etów nie była równomierna. A 17 września 1980 r. nie postanowiono, kto i jak ma zakładać Solidarność tam, gdzie strajków nie było lub nie wyłoniły przywódców. Niektórzy działacze zaczęli od pielgrzymki do Gdańska po pełnomocnictwo do zakładania Solidarności, naj-

lepiej od Wałęsy, i część taki dokument otrzymała. Inni od organizowania zakładowych ogniw związku i następnie lokalnych ich zrzeszeń. Powstawały konkurencyjne ośrodki, które niejednokrotnie aż do krajowego zjazdu Solidarności i nawet do 13 grudnia 1981 r. nie potrafiły się porozumieć. W rezultacie w wielu regionach wystąpiły odśrodkowe i dezintegracyjne tendencje, a nawet separatyzm.

Regiony duże i małe

Rzeczony tom 5 traktuje o dwunastu regionach. Największy – Mazowsze; ponad 900 tys. związkowców, pod tym względem trzeci w kraju (większe, bo ponadmilionowe, były Śląsko-Dąbrowski i Dolny Śląsk), a terytorialnie najrozleglejszy. Pięć regionów średniej wielkości – ponadstutysięcznych: Środkowo-Wschodni (330 tys. związkowców), Rzeszowski (240 tys.), Radomski (170 tys.), Warmińsko-Mazurski (150 tys.), Białystok (110 tys.). I sześć małych: Podkarpacie, Sandomierski i Płocki po ponad 70 tys., Pojezierze, Chełm i Przemyśl między 50 tys. a 40 tys.

Było też jedno dziwadło, Federacja Tarnobrzeska – praktycznie tylko Siarkopol oraz kilka związanych z nim komisji zakładowych, które wystąpiły z Regionu Sandomierskiego, raptem 23 tys. ludzi. KKP nie uznała jej za odrębny region, lecz by należących do niej związkowców nie pozbawiać prawa głosu, pozwolono im wybrać delegatów na zjazd krajowy. Tarnobrzeg był stolicą województwa, gdy więc region Solidarności wziął nazwę od Sandomierza, a regionalny MKZ obrał za siedzibę Stalową Wolę, polska stolica siarki uznała się za pokrzywdzoną i się odłączyła.

Podobnych animozji było więcej. W styczniu 1981 r. Chełm odłączył się od Regionu Środkowo-Wschodniego i ogłosił samodzielność (ponieważ w zasadzie pokrywał się z obszarem województwa chełmskiego, KKP nie sprzeciwiła się). Stracił na sile negocjacyjnej z władzami wojewódzkimi, odciął się od lubelskiego zaplecza eksperckiego,

biuletyn wydawał dzięki staraniom praktycznie jednego działacza, do stanu wojennego nie zdołał przyzwoicie się zorganizować. Za to zafundował sobie siedemdziesięcioosobowy zarząd regionu, większy niż w osiem razy większym Lublinie i tylko niewiele mniej liczny niż w ponad dwadzieścia razy większym Mazowszu. A i tak dopiero po interwencji Krajowej Komisji Wyborczej działacze powściągnęli swe ambicje, ponieważ mieli projekt, żeby każda komisja zakładowa wydelegowała do zarządu regionu swego przedstawiciela. To nic, że w takim składzie zarząd nie potrafiłby uzgodnić żadnej decyzji. Byłby za to największy w całym w kraju! Ale takie rozwiązanie było sprzeczne ze statutem i KKW zdołała je skutecznie wyperswadować zwolennikom demokracji bezpośredniej z Chełma.

Biała Podlaska wołała do Mazowsza niż do Lublina; dziwacznie, ale przyjęło się. Jarosław nie mógł z Przemyślem, no ale jakoś wytrwał, bo usamodzielnic się nie miały szans i musiały do Rzeszowa, lecz z Rzeszowem nie mógł jeszcze bardziej niż z Przemyślem. Giżycko natomiast nie bardzo mogło z Suwałkami. Najpierw zostało siedzibą tymczasowego zarządu regionu. Jego geneza była jedyna w swoim rodzaju: do połowy października 1980 r. w całym województwie suwalskim powstała jedna jedyna zakładowa komórka Solidarności, w giżyckiej Żegludze Mazurskiej. Ale z całą powagą zabrano się do powołania Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego i proklamowania samodzielnego regionu Solidarności. Miesiąc później działacze Solidarności z Suwałk, którzy jakoby nic nie wiedzieli o proklamowaniu regionu w Giżycku, utworzyli własny MKZ. O konkurencyjnym ośrodku powiedział im... wojewoda, do którego poszli z żądaniem przydzielenia lokalu z wyposażeniem. W tym momencie w całym województwie akces do Solidarności zgłosiło 10 proc. zatrudnionych; średnia ogólnopolska była kilkakrotnie wyższa. To nie przeszkadzało ambitnym działaczom uznać za pierwszorzędną cel tamtejszej Solidarności wymuszenie na władzach zmiany przeznaczenia okaza-

łego gmachu wzniesionego dla wojewódzkiej instancji PZPR.

Jednocześnie na ultymatywne żądanie KKP żuraw z Giżycka i czapla z Suwałk umawiały się na zjednoczenie. I nawet jeśli któryś MKZ jednego dnia zgodził się na ustępstwa, to zaraz na drugi dzień się z nich wycofywał. W końcu nikt już nie wiedział, czy siedziba władz regionalnych znajduje się tego dnia w tym samym miejscu co wczoraj. Takie komeraże trwały przez cały rok 1981. Skłóceni działacze dwukrotnie byli gotowi uchwalić rozwiązanie regionu i podporządkowanie jednej części Olsztynowi, drugiej Białemustokowi, byle się nie pogodzić, a w ostatniej chwili ulegali perswazjom wysłanników KKP. Oczywiście w tym stanie rzeczy nie było mowy o rewindykowaniu siedziby PZPR. Mimo że pewna część suwalskich władz wojewódzkich otwarcie sprzyjała Solidarności. Na przykład grupa członków Wojewódzkiej Rady Narodowej gotowa była zgłosić jako kandydata na wojewodę osobę uzgodnioną z zarządkiem Regionu Pojezierze, i to z dużymi szansami na zwycięstwo. Ostatecznie choć do takiego precedensowego w skali kraju uzgodnienia nie doszło, na wojewodę został wybrany właśnie ten kandydat, o którym rozmawiano z Solidarnością. Chyba żeby dopełnić miary własnej śmieszności, po przegranej batalii o partyjny budynek (a suwalscy działacze gotowi byli w tej sprawie, mimo sprzeciwu centrali związku, poderwać cały kraj do strajku generalnego) zarząd regionu zwrócił się do KW PZPR z prośbą o... wynajęcie sali konferencyjnej na Walne Zebranie Delegatów regionalnej Solidarności. Komitet Wojewódzki uprzejmie pomieszczenie udostępnił i niewiele brakowało, żeby właśnie tam delegaci przegłosowali rozwiązanie Regionu Pojezierze.

Kilka sprostowań

Najpierw drobiazg terminologiczny: w rozdziale o Regionie Pojezierze Walne Zebranie Delegatów zostało błędnie określone (s. 127) jako Wojewódzki

Zjazd Delegatów. Żadna instancja Solidarności nie określała się jako „województwo”, zjazd był tylko ogólnokrajowy, w regionach odbywały się zebra-
nia delegatów.

Niewiele mniej burzliwe niż w Regionie Pojezie-
rze były dzieje związkowej władzy w Białymstoku. Na początku października 1980 r. pierwszy MKZ rozwiązał się (podczas wizyty w Gdańsku), tydzień potem zawiązał się następny, ale nie wybrał prze-
wodniczącego, tylko trzech współprzewodniczą-
cych. Nie dowiadujemy się, do kiedy trwał taki stan. Na s. 35 podano (bez daty), że rezygnację złożył przewodniczący MKZ Feliks Gołębiowski; z kontekstu wynika, że było to w kwietniu 1981 r. Nie podano, kogo wybrano na jego miejsce. Nie wia-
domo też, dlaczego w poprzednim akapicie mowa jest o I Krajowym Zjeździe Delegatów (właściwie o jego I turze we wrześniu 1981 r.) i o udziale w nim delegatów Białegostoku, bo potem narracja wraca do wiosny 1981 r. W ogóle w tym rozdziale porządek chronologiczny jest wielokrotnie zakłó-
cony, brakuje też choćby przybliżonych dat. Na s. 27: z kontekstu wynika, że mowa jest o koń-
cówce 1980 r. „W ramach MKZ działała sekcja in-
terwencji, której przewodniczył Bernard Bujwicki, będący jednocześnie członkiem KKP. Po jego od-
wołaniu miejsce to zajął Feliks Gołębiowski”. Bez daty. Które miejsce zajął Gołębiowski: szefa komi-
sji interwencji, członka KKP, obu? I czy łączył te funkcje ze stanowiskiem przewodniczącego MKZ, które prawdopodobnie (to wiem skądinąd, nie z tego tekstu) objął w styczniu 1981 r.? Na s. 50 podano, że 20 marca 1982 r. powstała tajna Tym-
czasowa Komisja Regionalna. Na s. 51, że w 1985 r. TKR zmieniła nazwę na Międzyzakładową Komisję Koordynacyjną. Ale na s. 88 pisze się o konflikcie w 1988 r. pomiędzy TKR i Międzyzakładową Komi-
sją Koordynacyjną. Cały ten rozdział okleiłem kar-
teczkami, na których umieściłem dodatkowe odsy-
łaczki porządkujące chronologię, a z części tekstu z powodu bałaganu nie da się w ogóle korzystać.

Na rozdział o Mazowszu przeznaczono chyba za mało miejsca. Albo może trzeba było skorzystać

z rozwiązania zastosowanego w rozdziale gdań-
skim (tom 3), który jako jedyny w tych czterech tomach ma nieco odmienną kompozycję. Nie zakłócając zasadniczego chronologicznego porządku narracji, poszczególnym problemom poświęcono wyodrębnione podrozdziały i czyta się to znacznie lepiej. Rozdział o Mazowszu miejscami zbliża się do modelu kronikarskiego, w innych zaś fragmen-
tach do słownikowego. I prawdopodobnie zawarte w nim informacje będą traktowane właśnie tak jak hasła w encyklopedii, których w zasadzie nie sprawdza się już w innych źródłach.

We fragmencie poświęconym Komitetowi Obro-
ny Robotników stwierdzono (s. 251): „29 września 1976 r. ukazał się pierwszy numer »Komunikatu« KOR, przepisywanego wówczas na maszynach do pisania. Kilka miesięcy później pojawił się »Biuletyn Informacyjny«”. Nieprawda, oba pisma powstały jednocześnie i z początku wychodziły z po-
dobną, mniej więcej comiesięczną częstotliwością; do końca 1976 r. ukazały się trzy numery „Biule-
tynu Informacyjnego”. Dalej (s. 252): „Kierowana przez Mirosława Chojeckiego Nieocenzurowana Oficyna Wydawnicza, a następnie Niezależna Ofi-
cyna Wydawnicza wydawała książki”. Nieocenzu-
rowana Oficyna Wydawnicza nie wiąże się z naz-
wiskiem Chojeckiego. Nazwą tą posłużyła się gru-
pa studentów i absolwentów Katolickiego Uni-
wersytetu Lubelskiego z Januszem Krupskim na czele, która w porozumieniu z Antonim Maciere-
wiczem z KOR odbijała na powielaczu czasopisma Komitetu – „Biuletyn Informacyjny” i „Zapis”. Sy-
gnowany był przez nią chyba tylko numer 1 „Za-
pisu”, drukowany od stycznia do czerwca 1977 r. Makietę numeru 2 dostarczył Krupskiemu Choje-
cki, który też zasugerował zastąpienie „Nieocen-
zurowanej” przymiotnikiem „Niezależna”. Po wy-
drukowaniu w Lublinie drugiego „Zapisu” (już pod firmą Niezależnej Oficyny Wydawniczej) i próbie – ostatecznie niedoprowadzonej do końca – wy-
dania numeru trzeciego drogi obu środowisk się rozeszły i grupa Krupskiego nazwą NOWA już więcej się nie posługiwała. Strona 254: „Pierwszy

tytuł – *Pochodzenie systemu* Marka Tarniewskiego – został wydrukowany przez Niezależną Oficynę Wydawniczą jesienią 1976 r.”. Powinno oczywiście być: latem (w sierpniu) 1977 r.

Na s. 281 nietrafnie zrelacjonowana została sprawa uchwały I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ Solidarność z podziękowaniem dla Komitetu Samoobrony Społecznej KOR. 28 września 1981 r. gość zjazdu prof. Edward Lipiński odczytał oświadczenie KSS KOR o zakończeniu działalności. Lech Wałęsa zapowiadał, że odpowie na to przemówienie kilkoma zdaniem wyrażającymi uznanie i podziękowanie dla Komitetu i proponuje delegatom, by tekst ten przyjęli przez aklamację jako uchwałę – lecz tego nie zrobił. A przyjęło się, że przemówienia gości zjazdu nie pozostają bez echa, np. po wystąpieniach przewodniczących związków twórczych następowało podpisanie porozumienia o współpracy Solidarności z danym stowarzyszeniem, a po wizycie gen. Mieczysława Boruty-Spiechowicza jako reprezentanta żołnierzy II RP uchwalono włączenie jego przemówienia do dokumentów zjazdu. To wyjaśnienie uzupełniające, w rozdziale o Mazowszu na ten temat nie ma mowy, ale bez niego trudno zrozumieć, dlaczego spór o uchwałę na temat KSS KOR stał się powodem, jak napisano, „kryzysu we władzach regionalnych”.

Tegoż 28 września w imieniu regionu radomskiego Andrzej Sobieraj złożył w zjazdowej Komisji Uchwał i Wniosków rzeczowy i lakoniczny projekt takiego podziękowania. Jeden z delegatów Mazowsza, Paweł Niezgodzki, złożył kontrprojekt. O KSS KOR nie było w nim ani słowa – mimo że przytłaczająca większość korowców to warszawiaczy, którzy co do jednego oddali się pracy na rzecz Solidarności w Regionie Mazowsze, a kilku z nich było na zjeździe delegatami lub obserwatorami. Kontrprojekt zawierał tylko nieznośny retorycznie, wybiórczy wykład tradycji, z których frakcja „prawdziwych Polaków” (Niezgodzki do niej się zaliczał) wywodziła rodowód Solidarności. Na nocnym spotkaniu delegatów Mazowsza odbyła się w związku z tym kontrprojektem wielka awan-

tura. Tego samego dnia Sobieraj na prośbę Jana Józefa Lipskiego i Haliny Mikołajskiej (byłych członków KSS KOR i zarazem delegatów na zjazd) wycofał projekt z Komisji Uchwał i Wniosków (ze sformułowania w rozdziale o Mazowszu wynikałoby, że Lipski i Mikołajska zwrócili się z tą prośbą do Niezgodzkiego, a ich intencją było, żeby zdjąć z porządku zjazdu podziękowanie dla KSS KOR). Komisja zatem nie podjęła również pracy nad projektem Niezgodzkiego. W tej sytuacji nazajutrz delegat Małopolski Bogusław Sonik przedstawił w imieniu swego regionu drugi projekt dziękczynnej uchwały. Jan Józef Lipski, który długo domagał się głosu, a chciał prosić o wycofanie również wniosku Małopolski, zasłabł, po czym dyskusja na ten temat została odłożona. Ostatecznie jednak ostatniego dnia obrad zjazd przyjął uchwałę w wersji zaproponowanej przez Andrzeja Sobieraja i Region Ziemi Radomskiej. W omawianej księdze tej informacji zabrakło.

W akapicie poświęconym miesięcznikowi „Kultura Niezależna”, utworzonemu w 1984 r., pojawiły się błędne informacje (s. 341). Miesięcznik ten nie powstał z przekształconej w samodzielny tytuł wkładki do czasopisma „KOS” (tak samo błędnie genezę miesięcznika przedstawia poświęcone mu hasło w internetowej *Encyklopedii Solidarności*). Miały taki sam tytuł, ale genetycznie nic ich nie łączyło. Były to byty równoległe, tyle że wkładka do „KOS-a” powstała wcześniej, ale bynajmniej nie przestała się ukazywać po powstaniu miesięcznika. Przez pewien czas wkładkę do „KOS-a” pisała i redagowała Marta Fik, potem na jej prośbę ją zastąpiłem; oboje należeliśmy do redakcji miesięcznika, zachodziła więc swego rodzaju unia personalna, ale nic więcej. Po wykonaniu kilku numerów zaprzestałem i wtedy chyba wkładka przestała się ukazywać. Wśród autorów miesięcznika została wymieniona Anna Kowalska; chodzi o Ankę Kowalską, pisarkę, członka KOR i KSS KOR, która zawsze podpisywała się wyłącznie zdrobieniem imienia, żeby odróżnić się od Anny Kowalskiej, przyjaciółki Marii Dąbrowskiej.

W rozdziale o Regionie Środkowo-Wschodnim podano (s. 508), że na pierwszym masowym zebraniu organizatorów związku na Lubelszczyźnie 16 września 1981 r. do MKZ został dokooptowany Janusz Rożek, założyciel Komitetu Samoobrony Chłopskiej Ziemi Lubelskiej, później działacz Solidarności rolniczej. To nieporozumienie; byłem na tym spotkaniu. Rożek przyszedł już po rozpoczęciu obrad i ktoś podpowiedział Czesławowi Niezgodzie, żeby go powitał i zaprosił do prezydium – czyli na scenę, za stół z zielonym suknem. Niezgodzie źle zrozumiał i ogłosił, że dokooptowuje Rożka do prezydium MKZ. Działacz chłopski zasiadł na scenie, sala odpowiedziała owacją, ale któryś z sąsiadów Niezgody (jeśli dobrze zapamiętałem

– Adam Stanowski, naukowiec z KUL) uświadomił mu, że kwestia objęcia rolników indywidualnych prawem do zrzeszania się w związki zawodowe nie jest uregulowana. Przewodniczący sprostował poprzednie oświadczenie, przeprosił Rożka, prosząc równocześnie, żeby pozostał na scenie jako gość honorowy zebrania. Autor rozdziału zaczerpnął błędną informację ze sprawozdania, które o tym spotkaniu zostało złożone w KW PZPR, gdzie każda wiadomość o poczynaniach Janusza Rożka oddziaływała jak czerwona płachta na byka. Albo więc informator partii nie usłyszał sprostowania, albo wiadomość została celowo zniekształcona, żeby jej ewentualnie użyć przeciwko związkowcom jako dowód ich politycznego awanturnictwa.